

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

15

(Ciąg zaszły).

Chodnik zniżał się łagodnym spadkiem. Napotkali jeden stopień, potem drugi i skręcili na prawo. W tym miejscu natknęli się na drzwi, wprawione w framugę kamieni, starannie spajanych cementem. Pan Lenormand popchnął drzwi, ustąpiły. Zatrzymał się.

— Poczekaj Gourel, namyślił się. Czyby nie było lepiej uprzedzić Dondeville'ów? Ribeira przez swego wysłannika może się ubezpieczyć na wypadek odkrycia podziemnego ganku. Otóż przypuśćmy, że oni nas oczekują i że my wpadniemy w pułapkę...

— Dwóch nas jest, szefie!

— A jeśli ich jest dwudziestu?

Spojrzał przed siebie. Ganek szedł pod górę i zamykał go drugie drzwi, odległe o jakieś pięć czy sześć metrów.

— Dojdźmy aż tam — rzekł — zobaczymy, co dalej...

Poszedł, a zanim Gourel, któremu nakazał drzwi pozostawić otwarte. Drugie drzwi jednak były zamknięte.

— Rygiel zasunięty po tamtej stronie — rzekł pan Lenormand. — Sprawiajmy się cicho i powracajmy...

Powrócili tedy ku pierwszym drzwiom, lecz tu Gourel, który szedł pierwszy, wydał okrzyk zadziwienia:

— Ot... toż te drzwi zamknięte!

— Jakto! a przecież ci mówiłem, żebyś je zostawił otwarte!

— Ja też ich nie zamykałem, ale zatrzasnęły się same.

— Gdzieżby też! Słyszeliśmy stuknięcie. Lecz jak się to stało? Jest klucz? Tak! obraca się... ale z drugiej strony jest zasuwka.

— Któżby ją mógł zasunąć?

— Oni, do licha! za naszymi plecami... Czyżby się ukrywali w tym pawilonie niezamieszkałym? Jakbądź, wpadliśmy w pułapkę.

Borykał się z zamkiem, wpakował nóż swój w szparę, próbował wszystkich sposobów, wreszcie znudzony westchnął:

— Trudno, niema rady!

— Jakto, szefie... a więc... a więc bylibyśmy zgubieni?

— Hm!... takby to wyglądało...

Poszli do drugich drzwi i znowu wrócili do pierwszych. Tak jedne, jak drugie były silne, grube, z twardego drzewa, umocnione poprzecznymi listwami.

— Potrzebamy siekiery — rzekł szef bezpieczeństwa, albo jakiego mocnego narzędzia, którymby można wyciąć przymocowanie zasuwki... a my nie mamy nic...

Ogarnęła go nagła wściekłość i rzucił się na drzwi, chcąc je koniecznie wyważyć. W końcu zwyciężony, bezsilny, rzekł do Gourela:

— Słuchaj, zobaczymy jeszcze za godzinę, za dwie... teraz jestem do ostatka wyczerpany... spać będę... Oczuwaj przez ten czas... A gdyby przyszli nas zacheć...

— Ach, niech tylko przyjdą, to nasze zbawienie! — zawołał Gourel, pragnąc gorąco choć nie-równej bitwy.

Pan Lenormand wyciągnął się na ziemi i po krótkiej chwili zasnął.

Obudziwszy się, nie mógł się na razie zorientować, nie rozumiał, gdzie jest i co się z nim dzieje, ani jakie właściwe cierpienie mu dolega.

— Gourel! — wołał — gdzie ty jesteś, Gourel? Naciśnięty sprężynkę latarki, ujrzał Gourel'a, leżącego obok siebie, pogrążonego w twarde śnie.

— Co mi tak dokucza? — myślał — jakieś wewnętrzne bolesne ciągoty... Ach tak, to głód pomoże... umieram z głodu! Któż to godzina być może?

Zegarek, nienakrecony, stał. Tak samo zegarek Gourel'a. Gourel zbudził się z tem samem uczuciem strasznego głodu. Wymiarkowali też, że dawno przespali godzinę zwykłego śniadania.

— Nogi mi zupełnie ścierpły — oświadczył Gourel — a stopy mam zlodowaciałe. Śmieszne uczucie.

Chciał nogi rozetrzeć.

— No proszę! Co prawda, nie w łodzi trzymałem nogi, ale zato w wodzie... Niech pan spoj-

rzy, szefie, tam od strony pierwszych drzwi stoi prawdziwa kałuża!

— Woda zaskórna sączy się z gruntu — odpowiedział pan Lenormand — posuń się ku drugim drzwiom, obeschniesz.

— Ale co pan robi, szefie?

— Czy ty myślisz, że ja się dam żywcem zagrzebać w tej tu piwnicy? Jeżeli drzwi zamknięte, starajmy się przebić ścianę.

Po jednemu wyciągał kamienie, wystające na wysokość jego ręki, w nadziei, że wydłubie drugi korytarz, który powolnem nachyleniem wyprowadzi go na powierzchnię ziemi. Ale praca była długa i uciążliwa, gdyż w tej części podziemia kamienie osadzone były na cemente.

— Szefie, szefie — bąknął Gourel zdławionym głosem — pańskie nogi stoją w wodzie.

— Co znowu! Ale prawda... No, cóż chcesz, osuszmy je na słońcu...

— Ale czyż pan nie widzi?

— Czego?

— Że to wzbiera, szefie, wzbiera...

— Co wzbiera?

— Woda!

Dreszcz przebiegł mu po skórze. Teraz nagle zrozumiał. Nie była to niewinnie sącząca się wilgoć, ale zalew, zręcznie przygotowany jakimś piekielnym sposobem.

— Ach, ten łotr — zgrzytnął — jeżeli kiedy dostanę go w ręce!

— Tak, tak, szefie, ale przedtem trzeba się stąd wydostać... Co do mnie...

Gourel był zupełnie przybity, niezdolny wyłrzasć jakiś pomysł, wykombinować plan.

Pan Lenormand przypatrzył się wzbierającej wodzie. Do wysokości czwartej swojej części już pierwsze drzwi były zalane; woda sięgała do połowy drogi pomiędzy obu drzwiami.

— Postępuje zwolna, ale bezustannie — rzekł. — Za kilka godzin będziemy jej ponad głowę mieli.

— Ale to straszne, szefie, to okropne! — jęknął Gourel.

— Dałbyś pokój oto i nie nudziłbyś jeremiadami! Płacz, jeśli cię to bawi, ale niech ja tego nie słyszę!

— To głód tak mnie osłabia, szefie... w głowie mi się kręci.

Położenie w istocie pełne było grozy i gdyby pan Lenormand miał mniej energii, byłby porzucił tak daremną walkę. Nie można się było spodziewać, że Ribeira się wzruszy i otworzy im drogę. Ani także nie można się było spodziewać pomocy od braci Dondeville lub Hartoga, gdyż trzech inspektorów o istnieniu podziemnego tunelu nie wiedzieli przecież.

— No, no... — powtarzał pan Lenormand — cóż to za głupi interes... Trzeba przecież coś wynaleść... Poświeć mi, Gourel.

Przyciśnięty do drugich drzwi, zbadał je od góry do dołu. I z tej strony, jak prawdopodobnie i z drugiej, znajdował się rygiel, ogromny rygiel. Ostrzem noża poodkręcał śrubki i odjął rygiel.

— Co ma być z tego? — pytał Gourel?

— Ten rygiel jest żelazny, dość długi, dość ostry; nie jest to tyle, co motyka, ale zawsze to jest coś...

To mówiąc, zagłębił narzędzie w ścianę korytarza, trochę przed murowanym słupkiem, który podtrzymywał zawiasy drzwi. Tak, jak oczekiwał, poza pierwszą warstwą cementu i kamieni znalazł miękką ziemię.

— Do roboty! — zawołał.

— I owszem, szefie!... Ale proszę mi wytłómaczyć...

— To bardzo proste; trzeba wykopać dokoła tego słupa przejście trzech lub czterech metrów długości, które połączy się z tunelem poza drzwiami i pozwoli nam uciec.

— Ale na to godzin trzeba, a tymczasem wody przybywa.

— Poświeć mi, Gourel.

— Za pół godziny najdalej ona nam zaleje nogi...

— Poświeć mi, Gourel.

Myśl pana Lenormand okazała się dobrą i przy małym wysiłku, zagarniając ku sobie i wyrzucając w korytarz wygrzebaną ziemię, wydłubał w końcu otwór, dość duży, tak że mógł się weń wsunąć.

— Możeby ja pomógł, szefie? — rzekł Gourel.

— A! wracasz do życia? Owszem pracuj. Kieruj się tylko tem, gdzie jest słup.

W tej chwili woda dosięgała im do kostek. Czy zdążyć zaczęte dzieło skończyć?

Tymczasem praca stawała się coraz trudniejszą, gdyż poruszona ziemia przeszkadzała im coraz bar-

dziej, a oni z coraz większej odległości, leżąc na brzuchach, musieli ją na zewnątrz usuwać.

Po upływie dwóch godzin dzieło dobiegało może do trzech czwartych, ale woda sięgała już po łydki. Za godzinę dosięgnie ujścia lochu, który wygrzebali.

A w takim razie koniec...

Gourel, osłabiony z braku pożywienia i nazbyt gruby, by się w tym coraz ciśniejszym korytarzu ku poruszać, musiał dać pokój robocie. Nie ruszał się już, drżący z trwogi, czując, że go ta lodowata woda zwolna obejmuje.

Pan Lenormand zaś pracował z niestrudzoną zapalem. Ciężka, mrówcza praca, spełniana w dusznych ciemnościach... Krwawiły mu ręce. Upadał z głodu. Z trudem oddychał w dusznej jamie, zaś od czasu do czasu westchnienia Gourel'a przywoływały mu na myśl groźne położenia.

Jednakże nic już nie mogło go zniechęcić, gdyż oto teraz napotkał przed sobą takie same, jak pierwszej cementowane kamienie, stanowiące ścianę ganku. Najtrudniejsze to było, ale dochodził do końca.

— Woda się podnosi — krzyczał zdławionym głosem Gourel.

Pan Lenormand zdwoił wysiłek. Nagle ostrze rydla, którym się posługiwał, uderzyło w próżnię. Przejście wybite na wylot! Należało je już tylko rozszerzyć, co już szło o wiele łatwiej, zważywszy, że już można było wypychać materyał przed siebie.

Gourel, oszalały ze strachu, ryczał jak zarzynany zwierz. Pan Lenormand się tem nie wzruszał. Ratunek był tuż... tuż...

Jeszcze jeden ostatni wysiłek... otwór się zwiększył... Przecisnął się.

— Pójdź, Gourel! — zawołał, wracając po towarzysza.

Wyciągnął go półżywego za rękę.

— No, otrząśnij się, niedołęgo, jesteśmy uratowani!

— Tak pan myśli, szefie, tak pan myśli?... Ależ i tu mamy wodę po piersi.

— Idź tylko naprzód... dopóki jej nie będziemy mieli powyżej ust. A latarka twoja?

— Zamokła. Na nic.

— Mniejsza o to.

— Stopnie! — zawołał z radością — dwa stopnie, trzy!... schodki. Nareszcie!

Wychodzili z wody, z tej przeklętej wody, która już prawie ich zalewała i było to uczucie rozkoszne. Promienieli rozradowani, w poczuciu wybawienia.

— Stój! — szepnął pan Lenormand.

Potrącił o coś głową. Wyciągnawszy obie ręce, parł w przeszkodę, która natychmiast ustąpiła. Było to wielko kłapy, które, gdy się uniosło, odsłoniło piwnicę, oświetloną przez okno światłem jasnej nocy.

Pan Lenormand pedniósł wieko i wyszedł w górę po ostatnich stopniach.

Nagle padła mu na głowę jakaś zasłona. Jakies ręce go chwyciły. Poczł, że go otula jakaś kołdra, jakiś rodzaj worka — i że go obwiązują sznurami...

— A teraz brać drugiego! — przemówił ja kiś głos.

Widocznie tak samo obeszli się z Gourel'em. Ten sam głos przemówił:

— Gdyby krzyczeli, zabij ich odrazu. Czy masz twój sztylet?

— Mam go.

— W drogę! Biercie ich, po dwóch każdego... Bez światła i jak najciszej... Ostrożnie... od samego rana przeszukują ogród sąsiedni... jest ich tam dziesięciu lub piętnastu i rozbijają się jak wściekły.

Pan Lenormand poczuł, że go podnoszą, że go niosą, a po chwili wydało mu się, że wyszli na świeże powietrze.

Usłyszał turkot wozu i stukanie kopyt końskich.

— Przybliź wózek — rozkazywał głos.

Położono go na deskach. Gourel'a obok niego. Koń ruszył klusem.

Jazda trwała może pół godziny.

— Stój! — rozkazał głos. — Znieście ich! Hej, woźnico! obróć wózek w ten sposób, żeby tył dotykał baryery mostu... Dobrze, tak... Niema łodzi na Sekwanie? Nie? No, nie traćmy czasu... Ale, a, czy przywiązałeś im kamienie?

— Tak, i to uczucie ciężkie.

— No, kiedy tak, to dajże! Poleć Bogu twoją duszę, panie Lenormand i módl się za mną. Jestem Parbury-Ribeira, lepiej znany pod nazwiskiem barona